Anna Skrzyniarz

Dziesięć przykazań Amelii



Z dedykacją dla Ciebie...

Anna Skrzyniarz
„Dziesięć przykazań Amelii”

Copyright © by Anna Skrzyniarz, 2014
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.
Zdjęcie okładki: © Maridav – Fotolia.com

Wydanie II poprawione

ISBN: 978-83-7900-106-4

Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Szczególne podziękowania dla Piotra Kusia, przyjaciela,
który wytrwale wspierał mnie i motywował do pisania

Obłęd, inaczej nie można tego nazwać… Nerwowo przeżuwając mdłą gumę, rozglądam się po pokoju i niedobrze mi się robi na widok mebli, które pewnie mają niezłą frajdę, obserwując moje osowiałe spojrzenia, ciężkie wydechy i jeszcze cięższe kroki.

Dramat – człowiek upadły, człowiek bezsilny, człowiek, któremu zawsze wydawało się, że może wszystko, bo kiedyś wielcy tak powiadali, kto wie, może mieli więcej szczęścia, a może faktycznie byli jacyś nadludzcy…

Ja jestem zwyczajna, ale nie zawsze taka byłam. Był czas, kiedy również byłam nadludzka, nieprzeciętna, zupełnie oderwana od ziemskiego, szarego piachu i twardego betonu, miałam wtedy tyle siły, tyle wiary i nadziei… tyle miłości…

Została chora radość, najczęściej wymuszana, żeby uwierzyli, że wszystko jest pod kontrolą, że tego właśnie chciałam, że zyskałam więcej niż straciłam. W końcu wszystko da się jakoś wyjaśnić i na szczęście w każdej sytuacji znajdą się asy, które od czasu do czasu można wyciągnąć z rękawa. Sama nie wiem, kiedy minęły moje trzydzieści trzy wiosny, statystycznie mając szczęście, czeka mnie ich jeszcze czterdzieści dwie, będą następowały po sobie coraz szybciej, więc mój czas jest i będzie już coraz krótszy. Nie dramatyzuję jednak z tego powodu, może to i lepiej, może gdzieś indziej będzie łatwiej, może ludzie zostaną pozbawieni serc i rozumów i faktycznie pozostanie już tylko spokojna, w końcu uwolniona z męczącego ciała dusza.

To już cztery lata od kiedy widziałam GO po raz ostatni… W ciągu tych wszystkich lat dużo się działo, choć w rzeczywistości nie działo się nic. Nic nie zawierało w sobie tak przenikliwych emocji, jakie wywoływał JEGO uśmiech, czy spojrzenie.

Kolejna miłosna historia… jakie to banalne, ileż się o tym słyszy, pisze i czyta, dlaczego jednak wszystko poza nią, to tylko jeszcze większy miałki banał? Mnie nigdy nie powinno to spotkać, nie w taki sposób. Nie powinno się wypuszczać z klatek zakrzepłych i zacofanych ptaków, nie powinno pozwalać się im na to, by rozłożyły skrzydła i dotknęły nieba, skoro po chwili znowu muszą znaleźć się w swych drucianych pałacach, by tkwić w nich dalej, żyć jakoś, tak jak wcześniej, tylko trochę smutniej i niezwykle boleśnie. Tego lotu na pewno nigdy nie będą żałować… ale już zawsze będą za nim tęsknić…

Kiedyś, dzięki NIEMU udało mi się całym sercem poczuć życie. Niestety wszystko tak samo ma swój początek, jak i swój koniec. Mój „koniec" zniszczył więcej, niż posiadałam jeszcze przed „początkiem", durną miłość do mężczyzny, który, jak się okazało, miał ją za nic.

Poniedziałek, czas pospolitego ruszenia. Po nudnym weekendzie spędzonym przed telewizorem wracam za znienawidzone biurko. Sekretarka, mało tego, że w dzikim, przesiąkniętym erotyzmem i wulgaryzmami gimnazjum, to jeszcze w gabinecie dyrektora, największego zboczeńca, jakiego dane było mi spotkać. Codziennie tryskające seksapilem dziewczęta, wzrokiem powtarzają mi jaka jestem beznadziejna, dorastający chłopcy zapewne doskonale wiedzą dlaczego jestem sama. Mężczyźni przestali mnie interesować pewnie tylko dlatego, że ktoś taki jak ja kompletnie nie zwróciłby ich uwagi. Może nawet powinnam

cieszyć się z tego, że przynajmniej mój przełożony widzi we mnie jeszcze jako taką kobietę?

– Witam pannę Amelię, miło dziś pani spała? Jakieś ciekawe sny, jakieś zmysłowe akty może? – Niby żartobliwy uśmieszek, ale jakże sprośnie zaakcentowany puszczonym przy tym oczkiem. Zapewne myśli, że samotna kobieta w tym wieku jest opętana głodem seksualnym i każdy mężczyzna ma szanse na ujarzmienie godnej pożałowania samicy. Zawsze było w nim coś zwierzęcego, ale nie w dobrym tego słowa znaczeniu, nic słodkiego czy pociągającego, bardziej odrażającego, moralnie nieludzkiego.

Zależało mi na tej pracy, długo jej szukałam, gdy w końcu coś się dla mnie znalazło i to w moim małym miasteczku, cieszyłam się jak dziecko. Szanowny dyrektor Mahujski, którego nadane mu przez przodków nazwisko, niewątpliwie miało swoje uzasadnione podstawy, już od pierwszego dnia pracy zaszedł mi za skórę, na odchodne, po zakończonym dniu wzajemnej współpracy w ramach niejakiego zadowolenia z wykonywanych przeze mnie zadań, potraktował mnie niecnym klepnięciem w tyłek.

Z dyskretnym oburzeniem, zduszonym, nieporadnym uśmiechem, zapytałam:

– Za co to?

– A to tak, zalotnie – odparł.

Wtedy to też jego sprośna powieka mrugnęła po raz pierwszy.

– Za jaką lotnię? – Nieco się zdziwiłam. No tak, za dużo przebywam w towarzystwie Lucy, typowej blondynki, kochanej, zakręconej blondynki.

Roześmiał się donośnie, po czym stwierdził – Dobre, naprawdę dobre. Ma ani błyskotliwe poczucie humoru, praca z panią na pewno będzie bardzo przyjemna. I znowu to paskudne oczko.

Powieki i inne irytujące części ciała w przypadku takich zboczeńców powinny być surowo zabronione. Piktogram, ostrzeżenie – Uwaga, drażniąca i toksyczna próżnia!

Zagryzam zęby, siadam za komputerem i udaję, że moje biurko oddzielone jest Rowem Mariańskim od jego rezydenckiej ławy.

Od poniedziałku do piątku czas przeleciał jak zwykle, wręcz niezauważalnie. Już dawno przestałam odróżniać od siebie kolejne godziny. Każdy umierający dzień szybko rodził się na nowo, z czasem stało się to już tak jednostajne, że aż nudne, czas stał się rutyną, był zupełnie nieistotny… tak samo błahy, jak ja sama…

Pierwsza sobota miesiąca, comiesięczny babski event. Od kilku lat moja jedyna, długo oczekiwana rozrywka. Raz w miesiącu Jolka i Lucy wpadają do mnie zaraz po szybkiej wizycie w monopolowym; dwa sześciopaki i marlboro light, nasza odskocznia od szarej rzeczywistości. Dziewczyny są moimi rówieśniczkami, poznałyśmy się na studiach.

Obecnie są raczej średnio zadowolonymi żonami z kilkuletnim stażem. Ciągle narzekają na swoich „ślubnych". Zawsze zastanawia mnie ich szczerość, zapewne chcą mnie tylko pocieszyć, uzmysłowić, że staropanieństwo to jeszcze nic najgorszego.

– Boże, ten miesiąc bez fajki wyjątkowo mi się dłużył – stwierdziła Lucy, wspomniana już wcześniej urocza blondynka. W ciągu miesiąca staramy się nie palić. Osobiście nie wychodzi mi to najlepiej.

– Na rzecz nowych okien musiałam zrezygnować z moich wymarzonych, pełnoceramicznych licówek – nerwowo wlała w siebie spory łyk piwa – kłóciliśmy się o to przez dwa tygodnie,

ślubny stwierdził, że szczelne okna na zimę są ważniejsze niż mój piękny uśmiech. Wyobrażacie sobie? Jak można być aż takim egoistą?!

– Powinnaś się cieszyć, że dba o ciepło waszego gniazdka – stwierdziła Jolka, nerwowa choleryczka. – Jeśli chodzi o przygotowanie na nadchodzące chłody, to Michała martwi tylko odłożona przez ze mnie słonina na biodrach – również głęboko zaciągnęła się dymem papierosowym – „Słonina na biodrach!" dokładnie tak to określił, pojmujecie? Jak można nawet wpaść na tak odrażające określenie?!

Babskie marudzenie, w ich przypadku zupełnie bez znaczenia, jakby bardziej robiły sobie z tego żarty, niż jakieś życiowe dramaty. Obydwie i tak pewnie doskonale wiedzą, że życie bez ich mężczyzn nie miałoby sensu, zapewne tak samo, jak moje… Wiem, to żałosne… Jestem żałosna… Ciągle mam przed oczami ADAMA, wyobrażam sobie dwutygodniową kłótnię z nim o jakieś tam okna, czy licówki, docinki na temat wagi… i uśmiecham się do samej siebie, jakież mogłoby to być cudowne…

– Co cię tak bawi, moja droga Amelio? – Wyskoczyła nagle Jolka.

– Wy – odparłam krótko, ale niestety zbyt mało treściwie.

– To znaczy? – Zapytała zaciekawiona Lucy.

– Zastanawiam się, czy faktycznie narzekacie, czy tylko chwalicie się swoimi problemami.

– Oj, kochana – głęboko westchnęła Jolka – kiedyś zaczniesz odróżniać ze sobą te dwa totalnie sprzeczne pojęcia, niech tylko twój książę się pojawi, poczekaj – pogroziła butelką piwa.

– Tak, na pewno będziesz miała się czym chwalić – znacząco uśmiechnęła się Lucy.

– À propos, co się z tobą dzieje? Jakieś miłosne sensacje z ostatniego miesiąca? Czy dalej w głowie masz tylko tego marnego alpinistę?

Zawsze tak go nazywały, żartowały z często powtarzanego przez Adama, ich zdaniem dość niezdarnego motta, które sam wymyślił: „W życiu należy wspinać się tak wysoko, jak wysoko zarzuciliśmy linę."

Ja zawsze to rozumiałam, ba, moim zdaniem to były piękne słowa, no właśnie, „były"… do momentu, gdy zrozumiałam, że tak naprawdę niezbyt wiele dla niego znaczą. Na drugim roku, w połowie semestru, zrezygnował ze studiów, nagle stwierdził, że bankowość jednak nie jest tym, czym chciałby się kiedyś zajmować. Chciał zwiedzać ze mną całą Polskę na rowerze, ciągle planował, jak i gdzie, kupił nawet specjalny bagaż rowerowy, w ogólnym podsumowaniu, w ciągu naszych dwóch wspólnych lat byliśmy tylko raz w Bieszczadach i to samochodem. Kochałam go jednak za wszystko, nawet za słabą wytrwałość w postanowieniach, w końcu był tylko człowiekiem, dla mnie wyjątkowym, najważniejszym, nikt przecież nie jest idealny. Ja również nigdy taka nie byłam, zwykła szara myszka, w towarzystwie nie miałam zbyt wiele do powiedzenia. Zbyt perkaty nos, piegi i spęczniały brzuch. Nigdy za sobą nie przepadałam, on też jakoś nigdy specjalnie mnie nie komplementował, ale za to mocno do siebie przytulał, zawsze wysłuchał i pocieszył, był moim najlepszym przyjacielem. Często dziwiłam się dlaczego właściwie ze mną jest. Byłam mu wdzięczna za to, że nie wstydzi się przedstawiać mnie znajomym jako swoją, jak on to zawsze żartobliwie określał, „osobistą dziewczynę". Ogromnym przełomem w naszym związku okazał się jednak ślub mojej

młodszej siostry, dla niej największe szczęście, dla mnie najgorszy koszmar.

Już pół roku wcześniej cieszyłam się, że w końcu będę mogła przetańczyć z Adamem całą noc, nigdy nie mieliśmy jeszcze takiej okazji, a taniec zaraz po nim był moją drugą namiętnością. Przez kilka miesięcy wręcz natrętnie przymierzałam przygotowaną już zwiewną, najbardziej zmysłową suknię, jaką kiedykolwiek dane było mi na siebie założyć. Ognista czerwień, identyczna jak moje uczucie do Adama. Miał mnie zobaczyć i natychmiast porwać w otchłań parkietowego szaleństwa, a później spojrzeć mi w oczy i stwierdzić, że tylko ja, tylko ze mną, i tak już na zawsze…

Muzyka rozbrzmiewała i wypełniała gęstą atmosferę romantyzmu, melodia wręcz porywała do tańca. Zwykle, słysząc doskonale posplatane ze sobą nuty, ciało wręcz na siłę zmusza mnie do powstania z krzesła. Jednak tamtego dnia połowę imprezy przesiedziałam w kuchni, na ukrytej gdzieś w kącie skrzynce z piwem, z jakimś zbyt wytrawnym winem w ręku, w sukni, której gorzko wtedy nienawidziłam. Dzień wcześniej powiedział, że nie może przyjść na ślub mojej siostry, gdyż szef nagle, w ramach jakiegoś zastępstwa, wysyła go w delegację. Tylko dla siostry próbowałam na siłę tuszować rozczarowanie i duchową nieobecność. To było straszne. Nie sądziłam jednak, że kilka dni później wydarzy się coś jeszcze gorszego. Pod drzwiami znalazłam zaadresowany do mnie list: „Adam nie jest ciebie wart, zdradza cię" podpisano życzliwy anonim", gdy mu go pokazałam, przyznał się do wszystkiego, płakał, prosił o wybaczenie, ale nie potrafiłam mu tego zapomnieć. Rok później ożenił się z własną sąsiadką. Dla niego szybko i bezboleśnie, dla mnie?… Boli

do dziś… I do dziś mam wrażenie, że to moja wina, że mogłam mu wybaczyć, zdarzyło mu się, w końcu to tylko facet. Podobno zdrada czasem umacnia związek, a ja nawet nie dałam nam na to szansy, wręcz na siłę wrzuciłam go w ramiona sąsiedzkiej pocieszycielki!

– Słuchaj, tak być nie może, Adam był skończonym debilem! – Nerwowo wyskoczyła Jolka. – Kobieto, w ciągu tych czterech lat nie poznałaś żadnego faceta! Obudź się w końcu!

– Amelka, nie obraź się, ale głupia jesteś, i szczerze mam już dosyć ciągle od nowa ci to powtarzać, kiedyś w końcu mi się to znudzi, a ciebie pochowają pięć metrów pod ziemią razem z twoim pluszowym misiem, tyle będziesz miała z życia. – Lucy również uniosła głos.

– Pouczacie mnie jak znaleźć faceta nawet na siłę, a same ciągle narzekacie tylko na swoich mężów! – Również uniosłam ton.

– No tak, ale w gruncie rzeczy, nasze życie bez nich nie miałoby już większego sensu… – wyjątkowo spokojnie stwierdziła Jolka.

– Daj jej spokój – wtrąciła się Lucy – tylko mądrzy ludzie się zmieniają, głupcy i tak zawsze postępują tak, jak im najwygodniej. Zostaw jej ten koc i telewizor, w końcu to jej życie!

Wiem, że mają rację. Za bardzo przyzwyczaiłam się już jednak do nieczułego trybu życia. Stałam się obojętna i wyjątkowo opanowana. Mogą mnie chłostać i kamienować. Zniosę to w milczeniu. Bólu duszy i tak nic nie pokona. Wsiąkłam do reszty w szarą rzeczywistość. Wiem, że nic dobrego już mnie nie spotka, nie zasługuję na to, oddałam to, co najlepsze, a skoro z czyjejś łaski mam dostać coś tylko na pocieszenie, to wolę nie mieć nic, poza spokojem i własną niezależnością.

Nie muszę przejmować się tym, co na siebie włożyć, czy dlaczego on znowu nie odbiera swojej bezużytecznej komórki. A poza tym, jakoś żaden facet specjalnie nie ogląda się za mną na ulicy. Poza moim zagorzałym adoratorem Mahujskim, nikt nie wychyla się z chęcią poznania mnie bliżej. Kilkanaście dodatkowych kilogramów nie czyni mnie przecież kimś gorszym, niż wcześniej?

Nie wyobrażam sobie życia bez czekolady, tak CZEKOLADA… na samą myśl o niej mam ochotę włożyć na siebie seksowną bieliznę. Gdybym tak bardzo pokochała ją wcześniej, być może teraz nie musiałabym tęsknić za Adamem. Po tabliczce czekolady nigdy nie obędę się bez papierosa, dopełnienie zmysłowej rozkoszy, ujście przesyconego endorfiną, nikotyną i rozpaczą oddechu. Uintensywnienie jakichkolwiek emocji, by poczuć w sobie istnienie jakiegoś życia. Wszystko pozostawiłam losowi, uwierzyłam, że tak ma być, że w gwiazdach zapisaną mam jakąś błahą lekturę i każdego, nawet mnie samą, coraz bardziej nudzi odkrywanie jej kolejnych stron.

– Dziewczyny, co ma być, to będzie – często to powtarzam. Wiem, że to motto mało mobilizujące, ale nic innego tak mnie nie uspakaja, jak wiara w to, że przynajmniej „coś" czuwa nad moim mizernym losem.

– Nie, no jasne, niech się dzieje wola nieba – Jolka spektakularnie szeroko rozłożyła ramiona. – Alleluja. Z nią się zawsze zgadzać trzeba! – Nerwowo dodała Lucy– Bądź pochwalon Boże wielki, za Amelii naszej męki.

– No i z czego się śmiejecie, to nie jest zabawne – nie podobały mi się ich drwiny, nawet pomimo tego, że nigdy nie byłam oddaną i pobożną chrześcijanką. Jestem racjonalistką, bardziej wierzę w filozoficzne nauki buddyzmu, choć nawet i w tym do końca się nie odnajduję.

– Jakie męki? Szczęście, którego kiedyś zasmakowałam, nasyciło mnie tak bardzo, że głodu długo jeszcze nie odczuję – stwierdzenie ironiczno-faktyczne.

– Ach tak? To skąd te tony nadziewanej bakaliami czekolady? – Rzekła dumna ze swojej riposty Jolka.

Ten listopadowy wieczór nie był dla mnie wyjątkowo przyjemny, dziewczyny zrobiły się nerwowe, jakby miały mnie dość. Wiele razy mnie upominały, tym razem jednak niewątpliwie chciały mi ostro skopać tyłek. Cud, że wyszłam z tego bez żadnych ran kłutych, ciętych, czy szarpanych. Skóra cała i zdrowa, za to metafizyczne wnętrze zmiażdżone, roztrzaskane… nieprzyjemnie należycie zmasakrowane.

Może i dobrze, że nasze kolejne spotkanie odbędzie się dopiero za miesiąc, w zasadzie dopiero w następnym roku.

Ten wieczór nie był najlepszym wstępem do przejścia w mistyczny stan nocy.

Na nowo odrodziło się we mnie zbyt wiele lęku, nie lubiłam tego. Strach i niepokój często do mnie powracały, raz ciszej, a raz głośniej, szeptały straszne myśli do ucha, tym razem jednak krzyczały, krzyczały tak głośno, że w końcu nie wytrzymałam i nerwowo krzyknęłam jeszcze głośniej: „Boże ratuj!" Sama nie wiem, dlaczego akurat właśnie te słowa niemal siłą wydarły się z gardła, ale gdzieś w głębi wiedziałam chyba, że żadne inne nie pokonają siły koszmarnych szeptów.

Po jakimś czasie w końcu zrobiło się cicho i spokojnie, mimowolnie zwalniałam oddech, a powieki znacznie zyskały na ciężkości.

– Lucy dokąd mnie prowadzisz, co to za mgła? Nic nie widzę, boję się!

– Nie bój się. Nie musisz nic widzieć, aby w końcu coś zobaczyć… To tylko mgła, możesz przez nią przejść lub czekać aż sama opadnie… Ostrzegam jednak, że w tym urwisku mgła wiecznie się unosi…

– Co mam robić? Błagam!

– Nie stój i nie łkaj. Nie po to czasu więcej ci dano, by to co minęło, przyszłość zabijało.

Obudziłam się nagle. Byłam cała mokra, to był bardzo nieprzyjemny, zimny pot. Zerwałam się z łóżka, by szybko znaleźć jakiś długopis, cokolwiek do pisania, biegałam jak poparzona po pokoju, wiedziałam że muszę zapisać te słowa, jakaś niezwykła siła wręcz mnie do tego zmuszała. Znalazłam tępy ołówek i chwyciłam szybko wierzchnią kopertę ze sterty miesięcznych listów i rachunków. Zapisałam słowo w słowo. W końcu spokojnie usiadłam na łóżku, odetchnęłam i zdałam sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiłam, szaleństwo! Kto zrywa się w środku nocy i wariacko zapisuje jakiś senny tekst? Coś jest ze mną nie tak… człowiek normalny tak się nie zachowuje.

Tej nocy długo nie mogłam już zasnąć, myślałam nad tymi niezwykle mądrymi słowami wypowiedzianymi we śnie przez Lucy. W końcu zrozumiałam, dlaczego tak ubliżała mi na wczorajszym spotkaniu. Miała rację, ja faktycznie jestem głupia! Głupia jak but, albo nawet jak dwa buty, jak para startych, dziurawych i bezużytecznych kaloszy!!!

Otworzyłam kartkę, na której zapisałam me senne przesłanie, gdyby nie ostatni brak chęci na porządkowanie biurka, pewnie jeszcze wczoraj znalazłaby się w koszu, dołączając do reszty zbędnych papierzysk.

„Filharmonia Kameralna zaprasza na koncert charytatywny dla dzieci z Hospicjum »Nadzieja« (…)"

Czytając wypełnioną błękitem kartkę, tym razem poczułam w sobie intensywne współczucie, a zarazem wściekłość na samą siebie. „Jestem zdrowa, a mimo wszystko ślepa i głucha. Niepełnosprawna umysłowo i duchowo. Sama sobie jestem winna, na siłę podcinam żyły przepełnione tym, co najzdrowsze i najcenniejsze. Może w końcu czas coś zmienić?!

Cała niedziela ofiarowana była pozytywnej melancholii. Poniedziałek na nowo zepsuł jednak odzyskaną odrobinę spokoju i radości. Przekraczając progi znienawidzonego przeze mnie gimnazjum, ponownie bezwarunkowo dopadła mnie ta sama myśl, co zwykle.

„Co ja tu robię?", a widząc wąsatą twarz dyrektora Mahujskiego, po raz kolejny w żołądku pojawił się niesmak spożytego śniadania.

– A cóż to za kolory dziś panna Amelia na siebie włożyła? – Elegancka koszula usiana łąką chromatycznych kwiatów, którą w ramach protestu przeciwko samej sobie, w końcu na siebie założyłam, niestety zbyt bardzo przykuła jego uwagę.

– Ciężko będzie mi dzisiaj oderwać od pani oczy. Na zewnątrz liście opadają, a w moim biurze natura aż rwie się do życia – klasyczne mrugnięcie.

– Co opada, niech opadnie, a co rozkwita niech niezakłócane będzie – odważyłam się na bardzo śmiałe sformułowanie. Na szczęście nie jest aż tak bystry, jak mu się wydaje.

– Ano tak, gusta są różne, ale ja jak najbardziej na tak, innymi niech się panna Amelia nie przejmuje, a zwłaszcza tymi gniewnymi smarkaczami, oni zawsze mają się do czego przyczepić,

żeby tylko zaimponować kumplom. Myśli pani że nie wiem, że za plecami wołają na mnie fiutasiński? Wiem, ale pamiętam też, jaki sam byłem w ich wieku, nawet pas od ojca nie pomagał – w końcu usadowił się ciężko w swym masywnym fotelu. – Dywanik wiele też im nie pomoże, no ale dywanik musi być, jak to tak, bez dywanika? W resocjalizację trzeba wierzyć, jaka by ona nie była.

Potrafił tak nawijać godzinami. Czasami sam siebie przestawał już chyba rozumieć, ale mówił dalej, pewnie tylko dlatego, by po prostu mieć coś do powiedzenia. Robiłam wszystko, żeby nie wchodzić z nim w jakiekolwiek konwersacje, najczęściej zdawkowo odpowiadałam na jego pytania, lub na odczepnego przytakiwałam beznamiętnie jego słowom, udając ogromne zaangażowanie w pracę. Sądziłam, że ten dzień będzie nieco przyjemniejszy, że radośnie zbuntuję się szarej rzeczywistości, tak się jednak nie stało, zagryzając zęby, po raz kolejny poddałam się monotonnym czynnościom, a pełna żywych kolorów bluzka w kwiaty dostarczyła tylko niezłej uciechy wrednym gimnazjalistom. Myśleli, że nie widzę jak podśmiewają się pod nosem. Zresztą, tak czy siak, wiem, że mają ze mnie niezły ubaw, już nie raz słyszałam za plecami, jak któryś z młodych cwaniaczków woła za mną „petunia". Któregoś dnia w końcu sprawdziłam w internecie co właściwie oznacza to określenie, jak się okazało, może niepotrzebnie. Chodziło o „świnkę petunię", bohaterkę jednej z kreskówek. Wtedy jeszcze bardziej znienawidziłam mój perkaty nos i zaokrągloną posturę, wiem, że to tylko dzieci, ale w pewien sposób sama zaczęłam się tak postrzegać.

Jak zwykle po pracy zmierzałam w kierunku przystanku autobusowego. Odjazd – 17.30. Zwykle codziennie na ten sam autobus,

o tej samej porze czekali ci sami ludzie, ale dopiero gdzieś po roku zaczęliśmy wymieniać ze sobą słowa „dzień dobry i do widzenia." Dopiero wtedy, gdy półgodzinne opóźnienie autobusu w końcu zmusiło nas do jakiejkolwiek rozmowy. Czekała tam zawsze ta sama kobieta z czarną grzywką i wysoko spiętym kokiem, mało gustowna elegantka, kolor lakieru na paznokciach nigdy do niczego jej nie pasował, jakby robiła to z premedytacją, na złość odgórnie narzuconym trendom. Co drugi dzień przystanek podpierał również starszy mężczyzna, zawsze z tą samą dużą torbą w kratę, na pewno nie był zbyt zamożny, a może maskował się tylko przed wścibskimi zazdrośnikami? Teraz już nic nie wiadomo, mama ciągle powtarzała, bym nikomu nie ufała. Pełnym zaufaniem obdarzyłam tylko Adama i jak do tej pory tylko on tak bardzo mnie rozczarował. Mama miała rację – lepiej nie ufać.

Zbliżając się do przystanku, już z daleka zauważyłam wiszący na nim plakat pary pięknych, młodych i zafascynowanych tańcem ludzi. Zaczęłam zbliżać się do niego coraz szybszym krokiem.

„Szkoła Tańca Riviera rozpoczyna kurs tańca. Realizujemy światowy program taneczny.

Nauką obejmujemy tańce nowoczesne, standardowe, oraz tańce latynoskie (…)"

Tym razem, wpatrując się w okno autobusu, nie widziałam już piwnego spojrzenia Adama. Widziałam tylko siebie, wirującą gdzieś w rytmie zacnego walca, gorącej samby, czy walecznego pasodoble. Czułam te emocje i radośnie uśmiechałam się do zmrożonej jesiennym chłodem szyby.

Gdy wróciłam do domu, w korytarzu przywitał mnie jednak znowu żałosny widok samej siebie w dużym jajowatym lustrze.

Podstarzała i niekształtna postać kobiety, która najwyraźniej ma zbyt wygórowane pragnienia, której czas już minął, przepadł niewykorzystany… na zawsze stracony. Nigdy nie byłam piękna i nigdy nie zdawałam sobie chyba sprawy z tego, że młodość przemija. Od kiedy widziałam Adama po raz ostatni, przekładałam czas na później wierząc, że kiedyś być może jakoś go wykorzystam, a teraz…? Jest już za późno, nawet na własne marzenia, moją pasją zajmują się dzisiaj piękni i młodzi z przystankowych plakatów reklamowych.

Głupi sen. Głupi umysł, to i sen głupi! Może właśnie po to więcej czasu mi dano, bym resztę swego życia pokutowała za to, co tak nędznie zmarnowałam.

Na szczęście na czekoladę nigdy nie będzie za późno, moja lepsza połowa po raz kolejny bezwstydnie zachęca mnie do grzechu. Kolejne zmiętolone sreberko w koszu i kolejny pet wgnieciony w balkonową donicę poległych pelargonii. Kolejny dzień odchodzi w niepamięć.

– A co pani tutaj robi? Czeka pani na autobus?

– Autobus w taką mgłę na pewno na ulicę nie wyjedzie… W takiej mgle ludzie życie tracą…

– To co ja tutaj robię?

– Czekasz na autobus, pewnie tylko dlatego, że inni też tu stoją…

– Ale to przecież nie ma sensu?!

– Uwierz w siebie. Ty nikim innym nie będziesz i nikt inny nie będzie tobą, nie sedno w tym kim jesteś, lecz w tym byś stał się sobą.

Po raz kolejny bez wahania otworzyłam oczy, wstałam z łóżka i zapisałam na błękitnej kartce to, co tym razem przekazała

mi indywidualistka z przystanku. Kolejny kuriozalny sen i kolejna wielka mądrość mechanicznie zapisana na papierze. Powinnam uwierzyć? W kogo? W siebie? A kogo to obchodzi? Grzywiastą kobietę z przystanku? Co ona o mnie wie? Kto w ogóle cokolwiek o mnie wie? Nikt nie ma nawet najmniejszego pojęcia co czuję i jak mi ciężko! Nikt nie wie jaki ból duszę w sobie i jak bardzo nienawidzę siebie za to, że to moja wina, że to ja pozwoliłam na to, by wszystko właśnie tak się skończyło… Pozwoliłam MU odejść…! Jak wierzyć w siebie, skoro samemu sobie wyrządza się największe krzywdy?! Durny sen!

Przedwczorajszy poranny entuzjazm uleciał bardzo szybko donikąd. Dobrze wiedział, gdzie się przede mną schować. Dziś tradycyjnie, bez większych garderobianych objawień, założyłam na siebie czarny, przeplatany grubą wełną golf. Chciałam się w nim ukryć przed światem i przed samą sobą… Najłatwiej byłoby gdzieś zniknąć… Szkoda jednak, że jestem aż nazbyt odpowiedzialną osobą i po raz kolejny ulegam własnemu rozsądkowi. Czas do pracy.

Chociaż, kto wie? Może właśnie tylko praca ma jeszcze jakikolwiek sens? Przynajmniej zaktualizuję znowu kilka akt osobowych, zajmę się pocztą, ustalę plan pracy i spotkań szanownego dyrektora, przygotuję kolejną konferencję, naradę, czy choćby nawet zaserwuję gościom szkoły małą czarną za friko.

W każdą środę zaczynam dopiero od 11.00. To jeden z nielicznych plusów mojej pracy. Nie ma to jak dłuższa drzemka w środku tygodnia.

Wchodząc dziś do gabinetu dyrektora, po raz kolejny musiałam być świadkiem dydaktycznej rozprawy Mahujskiego ze szkolnymi łobuzami.

– No, jaką część ciała mężczyzna chce skraść kobiecie najbardziej? – Zdecydowanie naprowadzał ich na, wydawać by się mogło, oczywistą dla siebie odpowiedź.

– Eee… eee… – odzew nie był jednak tak szybki, jak oczekiwał. Chłopcy chyba bardziej zastanawiali się nad tym, czy powinni się uśmiechać, czy lepiej zachować jednak powagę.

– No ludzie, to już rozumiem skargi waszych koleżanek z klasy! – Nerwowo wstał z fotela – Serce! Rzecz jasna! Serce! – Energicznie zaczął wymachiwać rękoma – Właśnie tacy z was mężczyźni! Najpierw nauczcie się co to estrogeny, PMS, henna czy nanopiling, a dopiero później bierzcie się za zaloty!

Zawsze lubiłam jego dyplomatyczne podejście do uczniów, zwykle wtedy miałam się z czego dyskretnie uśmiechać pod nosem.

Wracając z pracy musiałam ponownie zmierzyć się, tym razem na jawie, z kobietą w koku. Jej niekształtna forma głowy już z daleka rzucała się w oczy, tak samo raził sobą jednak również i męczący plakat z reklamą szkoły tańca. Zbliżając się, nie sposób było ponownie nie zwrócić na niego uwagi. Aż prosił się o głębszą dociekliwość. „Nie podpieraj ścian własnego świata, wejdź na parkiet i poczuj życie!" Przeczytałam kolejne zdanie.

– Gdzie ten autobus, u licha? – Odezwała się nagle kobieta w grzywce – NIE MAM CZASU NA CZEKANIE! – stwierdziła nerwowo.

Aż gruchnęło coś we mnie, coś, jakby przebiło otaczające mnie dźwiękoszczelne szyby. Jej ostatnie zdanie echo w głowie powtórzyło kilka razy. W afekcie zerwałam energicznie plakat drażniącej pary. Jak nigdy nie interesowało mnie, co kto o mnie pomyśli. Wiedziałam tylko, że muszę go mieć, muszę zabrać go do domu i w końcu stawić mu czoła.